



WIKTOR TOMASZ GRUDZIŃ ur. 1962; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Często trzeba było dokładać z własnej kieszeni
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	drukarze, opozycja, drugi obieg, bibuła, wolne słowo

Często trzeba było dokładać z własnej kieszeni

Pierwszy papier to był wyniesiony razem z tamtym powielaczem. Potem cała siatka "Informatora" miała zadanie zbieranie papieru. Papier był strategicznym surowcem dla władzy ludowej. Gdziekolwiek się pojawił, tam natychmiast trzeba było gonić, aby zdążyć go nabyć. Ludzie z plecakami po niego chodzili, zwykle studenci. Przynosili i rozliczaliśmy się pieniędzmi. Czasami nawet był kradziony, z biur przede wszystkim, czasem z hurtowni. Masę wyciekło z drukarni KUL-owskiej, od pracowników, której kupowaliśmy go za pieniądze. Przerzut z Zachodu był nieopłacalny. Stamtąd przychodziły maszyny i farby. Odczynniki chemiczne natomiast zapewniał nam nasz Wydział Chemii. Ludzie ci byli znakomici. Cokolwiek byśmy chcieli do emulsji światłoczułej, do zmywaczy, do sitodruku, natychmiast chemicy nam ofiarowywali. Nigdy nie mieliśmy problemu z odczynnikiem chemicznymi, właśnie dzięki naszemu Wydziałowi Chemii i ludziom z Akademii Rolniczej.

Jeśli kupowaliśmy papier, to najczęściej w zwykłych sklepach papierniczych. Gdy pojawił się gdzieś na prowincji, to był natychmiast telefon. Niektórzy ludzie od nas mieszkali na przykład w Bychawie. Jak ktoś zobaczył papier, to dzwonił i natychmiast któryś z tych maluchów, czy Wieśka Haleja, czy Arka Kutkowskiego, czy mój tarpan, jechał tam natychmiast i wykupywał. Jechaliśmy w sześć osób i każdy kupował po cztery-pięć ryz, ile się dało, ile ekspedientka sprzedawała. Baliśmy się co prawda trochę, że zwrócimy uwagę władzy. Były jakieś zasady konspiracji, ale jeżeli się trafił papier, a akurat był głód, to czasami nie patrzyliśmy na to. Pamiętam, jak wieźliśmy kiedyś z Wieśkiem Halejem z Radomia papier. Wbrew wszelkim zasadom konspiracji. Były wymontowane wszystkie siedzenia. Ja siedziałem na papierze. To był maluch. Myśmy przytaszczyli tego papieru mnóstwo, wszystkie możliwości udźwigu malucha były przekroczone. A jeszcze na bagażniku była dykta na okładkę. Osiemdziesiąty piąty rok i przywlekliśmy się z Radomia do Lublina. Oczywiście próbowaliśmy tego unikać, ale jeżeli zdarzała się okazja, że można było kupić od drukarni... Arek Kutkowski załatwił to przez jakiegoś znajomego. Drukował zresztą w tej drukarni i jeszcze nam załatwiał ten papier. No to po prostu zaryzykowaliśmy. Wiele papieru skupowała Asia Borys, teraz żona Arka Kutkowskiego. Ona potrafiła z pomocą swoich dziewczyn załatwić nawet 120 ryz. A wszystko to działało na zasadzie skrzynek kontaktowych, gdzie się wrzucało bibułę, a odbierało czasami papier, czasami

pieniądze albo farbę. Duże znaczenie jeśli chodziło o farby miało to, co przychodziło z Zachodu. Pamiętam, że na przykład na Gestetnerze mieliśmy farbę puszkach, gdzie były na nalepce wyobrażone pieczarki. Wszystkie puszki miały taką samą wagę, bo zważyliśmy je dla ciekawości. W środku były zalane parafiną woreczki z farbą. Wszystko było zrobione bardzo dokładnie, zalakowane fabrycznie. Przy czym puszki musieliśmy zawsze wypalić po robocie, żeby nie było śladu, w jaki sposób przychodzi z Zachodu farba. Matryce powielaczowe też często były zachodnie. Bo polskie były straszne. Wszystko, co tutaj było, co władza ludowa zrobiła swoim przemysłem, było nie do przyjęcia. Już Chińskie były lepsze. No ale zachodnie to już dla drukarza była czysta radość i przyjemność. Tyle, jeżeli chodzi o technikę. Zawsze w każdym razie był kłopot z papierem. Potem, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, jak się skomercjalizowało, pojawiły się pieniądze z Zachodu, pieniądze za książki. Zaczął się tworzyć rynek kapitalistyczny, pojawiły się rabaty. Można było mieć tyle pieniędzy, że pojechało się i po prostu kupiło papier od magazyniera którejś z drukarni lub hurtowni. No, po prostu kradziony. W tym okresie heroicznym, czyli tuż po stanie wojennym, pomoc z Zachodu nie była jeszcze tak zorganizowana i nie było zatem stamtąd pieniędzy. Wszystko robiliśmy za darmo. Zwrot kosztów to było czasami nieosiągalne szczęście. Często trzeba było dokładać z własnej kieszeni. I ten pierwszy okres, pierwsza połowa lat osiemdziesiątych, zdecydowanie bardziej się mi podobał. Potem, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, pojawiły się niejasności rozliczeń. Zawsze mnie to trochę denerwowało. Miałem skrzynkę na 400 sztuk bibuły, książek brałem do 200 egzemplarzy, do rozprowadzenia. To już duże sumy, a ludzie nie zawsze jednak dotrzymywali terminów i płatności. Także ta komercjalizacja podziemia, która nastąpiła po '86 roku, zepsuła ducha. Ale z drugiej strony przyniosła zdecydowany wzrost możliwości wydawniczych. Maszyny i technika sitodruku pozwalały na to, by było coś robione w Lublinie w kilku miejscach na raz. Manufaktura rozproszona, jak w przypadku sitodruku, pozwalała, by jedną książkę robiły trzy ekipy.

Data i miejsce nagrania	2006-09-07, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Nowosad
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"